

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 4 grudnia 1909 r.

№ 49.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

36

Powieść historyczna.

Hrabianka, która, otulona płaszczem, pod resztką strzechy, czuwała dotąd nad chorą a wyczerpaną Anetką Prószyńską, zerwała się szukać Półnosa. Boć on jeden zdolny był umniejszyć klęskę, wynikającą ze straty czasu, on jeden, jako znający wskrós i okolicę i ludzi mógł dokonać poselstwa, od którego całe powodzenie planów Emilii zawisło.

Tak, bo nie dość było iść na Dyneburg, nie dość stanąć pod murami fortecy, trzeba było jeszcze pamiętać, że warunkiem zwycięstwa było, aby pierwszemu strzałowi powstańców odpowiedział bunt wewnętrzny, bunt szkoły podchorążych. Więc do nich należało dotrzeć i uprzedzić ich o dniu i godzinie.

Aliści nie łatwo było wykryć wśród leżących pokotem telszewskiego szlachcica. I hrabianka może by przed świtem nie znalazła go, gdyby nie Pociocha, która wskazała jej na stojący między kosynierami tarantas.

Półnos na zawołanie Emilii jął gramolić się a sumitować, jako całe sprawiedliwem mu się zdało, aby nieprzyjacielski oficer ustąpił miejsca człękowi starszemu wiekiem a nienawykłemu do symulowania zaby w błocie i jako oficerowi na dobre to wyjdzie, bo mu zatwar-

działość niechybnie na wilgoci zmięknie.

Hrabianka, nie bacząc na wywody Półnosa, zwierzyła mu się z zamysłem.

Szlachcic telszewski w jednej chwili się rozczmychał.

— Hm-hm! Dyabłu w gardło zajrzeć, języka po drodze zbierać, patrzeć prochu i broni!... Niechże będzie!.. Jeno warunek, że mi wolno kompanię dobrać, tarantasu zażyć i oskubać nieco niewolnika, bo prostą drogą nie trafi.

Emilia nie wchodząc w szczegóły, bez wahania przystała na wszystko, aby fantazyi szlachcica się nie sprzeciwić.

Półnos żwawo zabrał się do czynienia przygotowań i takich, że gdy nareszcie tarantas wytoczył się z obozowiska a telszewski szlachcic zjawił się przed hrabianką, dla odebrania ostatnich instrukcyi, Emilia nie mogła powstrzymać się od okrzyku zdumienia. Półnos przedzierzgnął się w podpułkownika inżynierów rosyjskich.

— Ależ waszeć snadnie możesz się zdradzić!

— Nic, miłościwa hrabianko; paszporty akuratnie mam w zanderzu, kuczera mam, forysia mam i babę do pomocy mam. Niech trzech obwieszą, czwarta podoła. Mundur nieco przyciasny i majt-

czyny wilgocią napęczniałe... ale nie sobie, pod płaszczem ujdzie.

Półnos jeszcze garścią żartów sypaną, do tarantasu wskoczył i odjechał.

Ta maskara atoli przypomniała Emilii o niewolniku, z którym coś należało postanowić, a którego, obranego teraz z odzienia, nie godziło się poniewierać.

Imć pan Godaczewski upierał się wprawdzie, aby, bez długichkolorodów, i tego więźnia, i jęgrów, żywcem pojmanych, ołowiem potraktować; lecz głos ten nie znalazł posłuchu.

Najsprawiedliwsem zdało się hrabiance wziąć od niewolnika zaręczenie, iż walczyć nie będą z rewolucją i wolę im dać. Jeno że na razie trzeba było jeńców zatrzymać parę dni, aby uniknąć przedwczesnych wieści o stanowisku i liczbie oddziału.

Na ten koniec zapadła uchwała, aby jęgrów do Dusiat panu Władysławowi pod straż odesłać. Ale juścić uchwały tej nie można było stosować do oficera inżynierów, uwięzionego przez Buchowicza, na drodze z Uciany. Oficer znaczny wszak własnem poczuciem honoru dawał zupełną rękojmję.

W tej myśli hrabianka nakazała uwolnić z powrozów oficera, zaopatrzyć w odzież, nakarmić, zaczem stawić przed sobą dla złożenia parolu i stwierdzenia go podpisem.

Kiedy jeńca wprowadzono pod strzechę, kędy mieściła się zaimprowizowana kwatera Emilii, ta,

zajęta rozpatrywaniem ponownem papierów, odebranych oficerowi, skinęła na Stęgwilę, aby rotę przysięgi uwolnionemu odczytał. Gdy Stęgwilko skończył, hrabianka odwróciła się ku jeńcowi, aby go zapytać, czyli deklaruje się dotrzymać słowa. Lecz zaledwie rzuciła okiem w stronę jeńca, zatrzęsła się ze wzruszenia. Jeńcem tym był Dallwig...

Równocześnie zmęczona, apatyczna twarz tego ostatniego zagrała przerażeniem.

— Więc to pani, pani tu!— wybelkotał po francusku baron— pośród, pośród tych szaleńców!!..

— Pośród współbraci—poprawiła dumnie Emilia, odzyskując władanie.

— Na Boga! cóż za myśl desperacka mogła panią skłonić! Wszak cały ten bunt jest obłąkaniem, jest samobójstwem!.. Od Królestwa odcina was armia... druga armia nadciąga od wschodu... Gdyby, gdyby nawet cud się stał, to jeszcze na zniweczenie go będą prusacy! Na wiatr nie powiadam. Żeby, żeby błysk nadziei był, to, wierz mi pani, ja pierwszy, tak, ja pierwszybym się nie zawahał..

— Nie wątpię, baronie... Czyńsz słusznie, że oświadczasz się za tą racją, za którą widzisz większą siłę..

— Żle mnie pani sądzi... Zażądałem sam przeniesienia do Bobrujska, żeby nie brać udziału w walce, żeby nie iść przeciwko tym, których nie miałem i nie mam za nieprzyjaciół. Obowiązek nakazywał mi pożegnać generała Szyrmana. Stąd moja wycieczka z Dyneburga do Uciany...

— I raporty dla komendanta fortecy.

— Nie mogłem odmówić ich przyjęcia... A potem, zdawało mi się, iż im energiczniej, im szybciej garnizon wystąpi, tem mniej będzie ofiar daremnych!.. Z Jeziorosów obiecywałem sobie zboczyć na Iluksztę, na Liksnę, pożegnać to, co nigdy nie przestało być..

— Czy zrozumiałeś pan rotę odczytanej tu przysięgi?—przerwała bezdźwięcznym tonem hrabianka.

— Przysięgi! Pani, przez li-

tość, wystuchaj mnie. Nie daj się zaślepieniu! Najzacniejsze uczucia tobą miotają, ale uczucia, które jeno zgubę, jeno nieszczęścia, jeno los straszny mogą ci zgotować!.. Nie samolubstwo mówi przeze mnie. Niczego dla siebie nie pragnę! Uciekaj pani, ratuj się, póki czas! Jednego Szyrmana starczy, aby was rozbił, aby w pień wyciął! Śmierci się nie boisz!.. Lecz zważ, iż w odmęcie bitewnym na kobietę czyha nie tylko śmierć, ale najpierw, gorsza od niej, hańba!.. Nie wolno ci opuszczać tych obłąkańców, nie wolno porzucać?.. Ha, więc daj mi zostać z nimi, a dokąd kazesz, powiodę i parolem szlacheckim ręczę, iż żywcem nie dam się wziąć, iż z bronią w ręku zginę, byleś pani ocalała, byleś uszła...

— Nie wolno mi przyjąć takiej ofiary.

— Bo pani nie wiesz, nie znasz całej prawdy! Rozkazy są wydane, rozkazy nieubłagane, bo prawo wojenne musi być nieubłaganem. Na pierwszą trwogę o buncie, ruszą kolumny wojska, ruszą, aby z ziemią równać sioła i miasta, aby każdy ślad powstania do rdzenia tępić, ruszą, aby nikomu nie przebaczać, aby ogniem i żelazem nawet cień oporu strawić, aby w gruzy i popioły zamienić wszystko! Pragniesz pani dobra, szczęścia, wolności swej ziemi ukochanej, a chcesz przyczynić się, aby wysączyć z niej ostatnią kroplę krwi rodzajnej, aby ziemia ta na wieki wieków stała się jałowem cmentarzyskiem!

— Nie, baronie! Chcę, aby, jeżeli nie sądzono nam wywalczyć swobody, chcę, aby z krwi i popiołów, które jeno wróżysz, narodziła się potęga nad potęgami, aby z mogił i cmentarzy po wiek wieków szedł ku ludowi zew wyzwolenia!..

Dallwigowi skurcz bolesny twarz wykrzywił.

— Wybacz pani, iżem śmiało mniemać przez chwilę, że słowo moje może u ciebie znaleźć posłuch!..

Hrabianka ukryła w dłoniach rozognioną twarzyczkę. Dallwig milczał złamany. Przytomna tej rozmowie starszyzna poglądała na siebie ze zdumieniem.

Aż w oddali zagrała pobudka strzelców owziejowskich, a tuż za nią chór mocnych głosów podjął z zapalem:

— Dabar Lenkay neprapule!

Emilia odstłoniła twarz. Oczy jej gorzały teraz, rozfalowana pierś zdawała się chwytać dźwięki oddalającej się pieśni, a napawać się nią, krzepić.

Dallwig poruszył się. Na ustach zawisły mu nowe zaklęcia.

— Gdybyś pani!..

— Nasze drogi nie od dziś się rozchodzą. Słyszysz, baronie?!.. To mój zew jedyny! Nie znam nadeń silniejszego!.. Mości Stęgwilko, weźmiesz od pana oficera parol według regulaminu.

XII.

Oddział hrabianki już wtóry dzień w Sołokach obozował, nie mogąc uporać się z nadciągającym wciąż ochotnikiem, a nie chcąc zaniechać niczego, coby jego ubogie siły mogło pomnożyć,—gdy niespodziewanie, pod noc, przybył forys, który był Pólnosa tarantaszem z pod Deguci wywiózł.

Z poplątanych wiadomości forysia wynikało, że Pólnos, zbałamuciwszy w drodze po zaściankach i nie mało, dzięki swemu przebraaniu, gwałtu przyczyniwszy, ugrzązł w Jeziorosach. Stąd babę i drugiego kompana gdzieś wyprawiwszy, sam luda jął zbierać i spsobić. I jako wszystko składało się pięknie, bo do Jeziorosów ktoś z Imbrodów przywiózł nowiny o pobiciu okrutnej armii przez dusiackich, więc i jezioroskim na gwałt ochapiał się wojowanie,—i jako Pólnos, napotkawszy znajomka, co w Ilukszcie gospodę trzymał, zmrużył sobie po poczęstunku,—i jako ćma piechoty spadała z wieczora do Jeziorosów, całą rewolucję w dyby wzięła, a szlachcica telszewskiego wieszac będzie, jeno świtu czeka.

Forys prawił jeszcze o dwóch generałach, z których jeden szczególnie srogo Pólnosa potraktował, ale nikt ze starszyzny dalszych relacji nie słuchał. Hrabianka bowiem ani momentu nie pozwoliła nikomu uronić.

Nieprzyjacieli był w Jeziorosach,

zagradzał drogę do Dyneburga, więc co tchu należało przeciw niemu dążyć, aby go zaskoczyć, aby nie miał czasu rozeznac pozycji, przysposobić się do ataku, aby cały zapał powstański na szalę zwycięstwa rzucić i nowem zwycięstwem większy jeszcze zapał rozniecić.

Zresztą ruch ten był nie tylko taktycznie doskonałym posunięciem, lecz był i przymusem. Trzymiłowa zaledwie przestrzeń dzieliła Sokołki od Jeziorosów. Cofnąć się—znaczyłoby zbliżyć się do Szyrmana, co gorsze, wyrzec się planu działania i całą połać pewnej ziemi wydać na łaskę wojennego porachunku.

Wymarsz otrąbiono natychmiast. Kawalerya, podzielona na plutony, wyciągnęła przodem, wysuwając rekonesanse. Emilia sama wiodła strzelców, Stęgwiłowie przewodzili kosynierom i nowouformowanym pikinierom.

Pochód odbył się pomyślnie. Ta część traktu dyneburskiego, na wiosnę nowowymoszczona, nie dała się roztopom. Noc, choć posępna, południowym oddychała wietrzykiem. Deszcz tu i owdzie zawadził smugą o powstańców, lecz cieplą smugą.

Na rozświcie, już w pobliżu Jeziorosów, nadszedł raport Buchowicza z rekonesansu. W miasteczku były dwie kompanie piechoty liniowej, lecz snadź zadufanej, bo, według kmiecia, który aż do rynku przesłizgnął się zdołał, straży licha gdzie widać, chyba pod burmistrzówką, kędy oficerowie kwaterują, a gromada pojmanego ludu między opłotkami ciśnie się a zawodzi z desperacyi.

Hrabianka po naradzie z Desztrungiem, który pomimo ciężkiej rany włókł się na wózku za oddziałem, rzuciła rozkazy.

W pół godziny niespełna, zanim wschód różami usiał drogę słońcu, piechota powstańska zrównała się z osadzoną w miejscu kawaleryą, połamana się z nią na dzwona, podkową objęła miasteczko i dała sygnał do ataku.

Atak był wściekły, szalony, a przytem, choć wystrzałami karabinowemi placówek zapowiedziany, tak karny, tak w wykonaniu ścisły,

że pułkownik Daszkow stracił głowę. Toć wyprawiono go z fortecy dyneburskiej na poskromienie zamieszek, na rozpędzenie wichrzycieli nieledwie że widokiem żołnierzy, a tu naraz waliła nań sforna ciżba jakiegoś pstrego wojska, a tu cała wszczyną się bitwa! Na domiar, podpułkownik Werculin, który na audytora do wodzenia się z buntownikami był mu przydan, spił się sam i dwóch poruczników ululił.

Daszkow atoli nie dał za wygrane. Nie od parady krzyż znaczny za turecką kampanię skrzył mu się pod halsztukiem. Porwał za pałasz i, dopadłszy tarabanów, zbór bić kazał. Kompanie jako tako jęły się formować i bodaj że pełnym szykiem opórby mogły uczynić, gdyby nie ów atak wciąż nieustanny, nieobliczalny dla pułkownika, włoczonego wraz ze swoimi żołnierzami w gardziel rozrzuconych bezładnie domostw.

Więc po pierwszej szarzy Kuczewskiego, runęła druga Buchowicza i tuż trzecia Stęgwiłły. Ledwie ta przeleciała po pierwszych plutonach piechoty, ledwie ten i ów z żołnierów zdołał ładunek odgryźć a panewkę podsypać, już strzelcy owsejowscy plunęli siekańcami, już zasnučili kilkunastu.

Daszkow przecież nadludzkim wysiłkiem potrafił zdemoralizowa-

nego żołnierza sprawić. Jakoż, w takt tarabanom, ogień piechoty wnet salwami rzygnął i niechybnieby przetrzymał tyralierkę owsejowskich, — gdyby nie nowa szarża i tym razem waląca na kark Daszkowowi, i gdyby nie atak równoczesny kosynierów, którzy od boku, z za domostw, wżarli się strasznymi brzytwami w nieszczęsną piechotę.

Daszkow padł, podcięty kosą. Tarabany umilkły. Jeszcze kilka strzałów huknęło, jeszcze raz zachrypiał głos starego feldfebla, a po tem już jeno zgiełk i łomot tępy, a dalej jeno uganianie się za uchodzącymi zbiegami.

W kilka chwil jęki rannych i konających zmieszały się z okrzykami radości uwalnianych przez pana Godaczewskiego więźniów na burmistrzówce i wylegających zewsząd mieszczan jezioroskich.

Był atoli człek, który, miast się cieszyć z rozcięcia postronków, co mu boleśnie ciało rznąły, zerwał się, niby dzik raniony, i rzucił na opatrywanie krwawego żniwa.

Człkiem tym był Półnos. On to, pomny batów, któremi go na znajomości i przebrania uczczenie poczęstował podpułkownik Werculin, biegł szukać swego dręczyciela.

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

46

List przyszedł rano, pierwszym pocztowym i Józio przeczytał go na razie bardzo pobieżnie.

— Klituś bajduś, módl się za nami!—szepnął ironicznie, zdał słůbę i wyszedł na peron.

Dzień robił się cudny, słońce wyniosło się z poza lasów i świeciło coraz cieplej, złociściej i promienniej, białe szrony pokrywały ziemię runią rozmigotanych brylantów, drzewa stały w srebrzystych przyodziewach, niebo wisało czyste i lśniące, niby toń, przesnuta błękitem i cichością; w przejrzystem, rzeźwem powietrzu dymy parowozów kłębiły się białemi, spiętrzone-

mi chmurami, głosy leciały rozdzwonione radością, wrzeszczały dzieci, psy czekały, jak oszalałe, nawet pociągi zdały się przelatywać prędeej i weselej, otwierano na oścież okna, i ludzie z rozkoszą wystawiali twarze na wiosenne ciepło.

— Panno Marychno, wiosna na świecie!—krzyknął Józio, stając przy pustym jeszcze bufecie.

Buchnął na niego cały obłok kamforowych zapachów, nim wysunęła z poza szafy głowę.

— Co mi tam wiosna, kiedy mnie bolą zęby! — jęknęła płacząliwie.

— Nie będę dzisiaj na obie-

dzie. Dostałem zaproszenie do prezesa!

— A Soczek mówił, że pan będzie dzisiaj u nich! Podobno już z p. Zofią zgoda?

— Wcale się na nią nie gniewałem! Któż to znowu puścił taką plotkę?

— Soczek tak się uzał na pana przed każdym, aż się tem zainteresowała cała stacya...

— A niechże ich wszystkich razem wezmą dyabli!—zaklął i wyszedł.

— To bydlę roztrząsa swoje żale przed pierwszym lepszym, a mnie zato wezmą na języki!—myślał zirytowany, wchodząc do mieszkania, i ze zdumieniem spostrzegł, że było już sprzątnięte, a na stoliku stał rozkwitły hyacynt śnieżno biały i obok leżała koperta z całującymi się gołąbkami. Jeszcze nie zdążył się rozebrać, gdy Magdzia wniosła herbatę.

— Pani kazała przynieść, bo pewnie pan jeszcze nie pił.

— Powiedz pani, że bardzo dziękuję, bardzo!

— A dzisiaj na obiad to będzie wszystko, co ino pan lubi...

— Bardzo mnie to cieszy. Ale co się to stało, żeś już posprzątała?

— Hale, pani nie dała mi się tknąć niczego, a ino powiada: Sama sprzątnę! Druga, to i dla rodzzonego chłopca takby się nie trudziła! Ale moja pani la panowego przyjacielstwa toby zrobiła nie wiem już co!

— Widzisz, nie spałem całą noc i chciałbym się teraz położyć!—próbował jej przerwać.

— Dyc mój pan zawdy rano prawie gołkiem spaceruje po pokojach, a mnie się nie wstyda... Proszę pana, bieliznę praczka już przyniosła; koszule i te drugie rzeczy tak były miejscami pociarachane, że je moja pani ponarządzała, schowałam je do komody!—ciągnęła niczem nie powstrzymana. Żeby ino poradziła rozpowiedzieć wszystko, co ta moja pani wyprawiała przez ten tydzień, toby panu włosy stanęły na głowie!

— Mów, Magdziu! Mów, najdroższa, może prędzej zasnę!—zaszczał tak słodko, że się rozgnie-

wała, trzasnęła drzwiami i z furją zlatywała ze schodów.

Ale Józio się nie położył, lecz tylko znowu zabrał się do czytania listu od Buczka. List był długi, na ośmiu stronach i bardzo ściślem i drobnem pismem, czytał go jednak wiersz po wierszu, uważnie i z coraz większem zainteresowaniem, gdyż Buczek z szaloną werwą i niezmiernie plastycznie opisywał przygody swojej podróży i Paryż; zwłaszcza opis Mi-carem'u był niesłychanie barwny, entuzjastyczny i porywający!

Józio czytał długo, powracając do pewnych miejsc i szczegółów po kilka razy i coraz więcej się upajał, coraz głębiej odczuwał, coraz wyraźniej widział, i coraz potężniej przeżywał to wszystko, aż w końcu list odrzucił, przymknął olśnione oczy i z nieopisaną rozkoszą pograżył się na samo dno tych scen opisywanych, w ten chaos barw, ruchów, wrzawy i szaleństwa; tańczył na ulicach, z uśmiechem szczęścia przepychał się wskrós rozśpiewanych tłumów, gdzieś z niebi płynął i miotał się wraz z niebi w dzikich konwulsjach szalonej zabawy, śpiewał wraz z niebi, krzyczał i pił spragnionemi ustami oszalamiającą rozkosz życia!

Oprzytomniał dopiero, kiedy jakiś pociąg przeleciał pod oknami z przesywającym świstem.

— Ja byłem głupi, a on sobie teraz używa! Boże, jaki ja byłem głupi! Głupi! Głupi! powtarzał z wściekłością, ale coraz ciszej i żałośniej, bo nagle gryząca tęsknota zaczęła mu znowu wyżerać serce i mózg. Zaskowyczał jak pies, chłasnęty batem, i rzucał się na wszystkie strony, nie wiedząc, gdzie się schronić przed męką, jaka mu rozszarpała duszę.

Zajrzał do swojego sanktuarium, ale na widok resztek map i papierów, rozrzuconych na podłodze, zrobiło mu się jeszcze boleśniej, i postanowił lecieć do miasta.

Ale pani Zofia czuwała, wciągnęła go ze sieni do przedpokoju, potem do saloniku, a ponieważ Soczka nie było, to w końcu i dalej... Trafiła na dobrą chwilę, nie opierał się, było mu nawet rozkosz-

nie oddawać się jej drapieżnej, namiętnej sile... Nie robiła mu żadnych wymówek, ale była taka rozkochana, wielbiąca i szczęśliwa, i pokorna zarazem, że wychodził od niej znacznie spokojniejszy i pełen głębokiej wdzięczności.

— Proszę się tylko nie spóźnić na obiad! Józiu!

Odwrócił się od drzwi, patrząc na nią jeszcze nieostygłemi oczami.

— Kocham cię, wiesz!—Znowu rzuciła mu się na szyję.—I nie będziesz się już gniewał na mnie?..

— Nie będę!—Aż się skurczył pod gradem jej namiętych pocałunków.

— I będziesz mnie zawsze kochał? Zawsze? Zawsze?

— Zawsze! W każdym miejscu, o każdej porze i na każde zawołanie! Zawołał z uśmiechem i wyszedł.

Droga do miasta była czarną, lśniącą rzeką błota, zalewającego nawet trotuary, i zatłoczona wozami, że odechciało mu się cukierni i poszedł plantem kolejowym ku lasom niedalekim. Ogarnęła go przeogromna cisza pół, słońce wisiało nad nim płomienną kulą, gdzieś w przestrzeniach śpiewał skowronek, szrony spływały z drzew srebrzystemi kaskadami, pachniało wiosną. Szedł coraz wolniej, rozkoszując się ciszą, ciepłem i rzeźwem upajającym powietrzem. Budził się jakby po długim odurzeniu, wlokąc zdumionemi oczami po polach, które jeszcze leżały ciche, pławiące się leniwie w słońcu, w bródach polśniewały wody, gdzieniegdzie błyszczał jeszcze płot przybrudzonego śniegn, lub stokrotki otwierały zrózowione rzęsy, gdzieś od wiosek leciały krzykliwe gęgoty i wrzaski dzieci, czasem wiatr musnął pieszczotliwie zielone pióra zbóż i sine gładzie wód pomarszczył, niekiedy wymijały go pociągi przesuwające się z chrzęstem, jak węże, wśród suchych liści.

Cicha radość pierwszej wiosny przenikała świat, radość zmartwychpowstania, święty dreszcz budzącego się znów życia...

DCN.



OGRÓD ALLAHA.

49

Gdy odszedł, Domini siedła w cieniu namiotu. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła była widzieć cmentarz arabski nieopodal, pewną ilość głazów, do połowy zasypanych piaskiem. Arab samotny błąkał się tam, modląc się za umarłych głośno, żarliwie. Czasami zatrzymywał się przy grobie, pochylał się w modlitwie, potem powstawał i znowu chodził. Głos jego nie zamilkł na chwilę. Dźwięk tego głosu był żałosny i jednostajny. Domini przysłuchiwała się tej modlitwie i myślała o ludziach bezdomnych, o tych, którzy żyli i umarli, nie dotarłszy do wrót, przez które przeszedł hrabia Anteoni. Słowa jego i głęboka zmiana w twarzy uczyniły na niej głębokie wrażenie.

I znowu spadło na nią przerażenie. Spojrzała ku głazom cmentarnym wśród piasków i wyobraziła w tem miejscu, gdzie był arab, siebie... modlącą się za Androwskiego, pogrzebanego tam, ukrytego tam od niej na zawsze. I naraz poczuła: „Nie mogę zwlekać, muszę działać“.

Głos starego araba zamarł w oddali; zanim atoli zamarł, Domini już go nie słyszała.

Słyszała jedynie głos, który był w niej i który do niej mówił: „Gdy kochasz prawdziwie, nie miej lęku. Idź śmiało przeciw smutkom, które, jak cień śmierci, stoją pomiędzy tobą i twoim małżonkiem. Odzłoń je. Masz broń: wiarę. Użyj jej“.

I zdało się jej, że przez cały czas swej miłości była gnuśną w sercu—i była małoduszną—i oto przysłała do wniosku, iż nadal nie może być małoduszną.

XXV.

Domini postanowiła, że jeszcze tego wieczoru pomówi z mężem. Postanowiła być niezłomną, nie cofnąć się w żadnym razie. Z drugiej strony uprzytomniała sobie, jak trudne będzie miała zadanie—zadanie z powodu stałej i prawie uporczywej skrytości Androwskiego. Skrytość ta była cechą zasadniczą jego charakteru. Myślała często o niej, jak o murze ognistym, który okalał miejsca tajemne jego duszy, chroniąc je nawet przed jej wzrokiem.

Było już koło wieczora, kiedy Androwski powrócił do obozu. Na wielkie białe rozłogi piaszczyste padło żółte światło. Na małych krągłych wzgórkach wioski arabskie wy-

glądały urocznie. Sporo jeźdźców ukazało się od strony miasta—chłonąc rzeźkość zbliżającej się nocy. Od pustyni nadciągały karawany. Dzieci nomadów półnogie grały w korę przed namiotami, nawołując przenikliwie poprzez ciszę jasną, falującą powietrzną ku dalekim przestrzeniom, które znowu dech niosły jakiejś bladej wieczności.

Gdy Androwski zbliżył się, Domini spostrzegła, że nie miał już tej energii, która ją tak zachwycała podczas śniadania. Szedł wolno, z głową opuszczoną. Twarz miał poważną, nawet smutną, jakkolwiek, gdy ujrzał, że go oczekuje, uśmiechnął się do niej.

— Byłeś cały czas z księdzem?—zapytała.

— Prawie cały. Krótko tylko przeszedłem się po mieście. A ty?

— Wyjeżdżałam na spacer i spotkałam przyjaciela.

— Przyjaciela? — rzekł, jakby tknięty.

— Tak jest, przyjaciela z Beni-Mory, hrabiego Anteoniego. Złożył mi tu wizytę.

Podsunęła mu fotel pleciony. Siedział na nim ciężko.

— Hrabia Anteoni tu! — rzekł wolno.—Cóż on tu robi?

— Jest u marabuta w Beni-Hassan. I wiesz, Borysie, przyjął mahometanizm?

Podniósł głowę z drgnieniem raptownym i patrzył na nią w milczeniu.

— Dziwi cię to?

— Hrabia Anteoni... mahometanin?

— Tak jest. Czy wiesz, gdy mi to mówił, czułam prawie, jak gdybym się tego spodziewała.

— Lecz... tedy on zmienił? Jest...?

Zatrzymał się. Głos jego zadźwięczał gorącej, prawie okrutnie.

— Tak jest, Borysie. Czyś widział kiedy kogo, kto się zabłąkał... a potem tegoż, powracającego drogą do domu? Otóż takim jest hrabia Anteoni.

— Mówiłaś mu?

— O nas?

— Tak.

— Mówiłam mu.

— Cóż on?

— Spodziewał się tego. Przyjdzie tu, kiedy go poprosimy, by nas odwiedzić oboje razem.

Androwski wstał z fotela. W li cach miał niepokój. Stanąwszy przed Domini, rzekł:

— Hrabia Anteoni jest tedy szczęśliwy, że... że wiarę tę posiada?

— Bardzo szczęśliwy.

— A ty, katoliczka, cóż sądzisz o tem?

— Sądzę, że... ile to jest jego wiarą rzetelną, jest to błogosławieństwem dla niego.

Nie rzekł nic, lecz poszedł ku namiotowi sypialnemu.

Wieczorem, gdy jedli obiad, rzekł do Domini:

— Domini, dziś po obiedzie opuszczę cię także na czas krótki.

Ujrzał wyraz żalu gorzkiego, który wystąpił na jej lico, i dodał szybko:

— Przyrzekłem, że o dziewiętej odwiedzę księdza. On... tu samotnik Chciał, żebym przyszedł. Nie masz nic przeciw temu?

— Ależ nie, nie. Jestem rada... bardzo rada. Skończyłeś już?

— Tak jest.

— Weźmy pled i chodźmy trochę na piasek, drogą ku cmentarzowi. Tam wieczorem spokojnie.

— Tak jest. Weźmy pled.

Poszli i przybyli na cmentarz francuski, okolony nędznym żywopłotem, w którym tu i owdzie świeciły otwory. Przez jeden z takich otworów weszli do środka, rozpostarli pled na piasku i sami legli na nim. Wieczór był cichy, i cisza panowała tu zupełna. Patrzeli na rozrzucone tu i owdzie mogiły wygnaućców, którzy zmarli tu i piaskom zostali oddani. Mogiły te były zazwyczaj skromne, lecz jedna w pobliżu Androwskiego i Domini miała grobowiec z białego marmuru w kształcie kolumny strzaskanej, uwieńczonej wiecznie trwałymi kwiatami i mieszczącej te słowa rzeźbione:

Ici repose

Jean Baptiste Fabriani.

Priez pour lui.

Leżąc na piasku, oboje spojrzeli na ów grobowiec, jakby ruszeni wspólną pobudką, i przeczytali ów napis.

— *Priez pour lui!*—rzekła cicho Domini.

Przeciągnęła rękę, ujęła dłoń męża i przycisnęła ją do piasku.

— Czy pamiętasz, Borysie, tego pierwszego wieczoru—rzekła—w Arbie, jak ująłeś dłoń moją i przycisnąłeś ją do pustyni, jakbyś ją przyciskał do serca?

— Tak jest, Domini, pamiętam.

— Tego wieczoru byliśmy jednym, stanowiliśmy jedno... czyż nie tak, Borysie?

— Tak jest, Domini.

— Czy tylko istotnie — mowa jej była jak szept wieczorny—byliśmy wtedy jednym?

— Dlaczego mówisz: czy tylko istotnie?

— Tak jest: jednym w duszy. Bowiem to jest spójnia prawdziwa, większa, niż spójnia ciała. Czy byliśmy jednym w duszy? Czy jesteśmy tem obecnie?

— Dlaczego mi zadajesz podobne pytania, Domini? Czy wątpisz w moją miłość?

— Nie, nie wątpię. Pytam atoli. Dlaczego nie odpowiadasz?

Milczała. Dłoń jego spoczywała w jej dłoni, lecz była bezwładna.

— Borysie! — mówiła słowa okrutne bardzo powoli — nie byliśmy prawdziwie jednym w duszy. Nie byliśmy nigdy jednym. Wiem o tem.

Nic nie rzekł.

— Czy kiedy będziemy jednym? Pomyśl: gdyby jedno z nas umarło, a drugie... ktoby pozostał, pozostał z przekonaniem, że w naszej miłości, nawet w naszej miłości, był rozdział wieczny... czy zniósłbyś to? Czyż mogłabym znieść to?

— Domini...

— Tak jest.

— Dlaczego mówisz w ten sposób? Jesteśmy jednym. Masz całą moją miłość. Jesteś mi wszystkim na świecie.

— A jednak jesteś smutny i starasz się ukryć swój smutek, swą troskę, ode mnie. Dlaczego nie możesz mi jej powierzyć? Pragnę tego... pragnę bardziej, niż wszystkiego na świecie; pragnę i muszę mieć to, i śmiem żądać tego od ciebie, ponieważ wiem, jak głęboko mnie kochasz i że nie mógłbyś już innej pokochać.

— Nigdy nie kochałem innej — rzekł.

— Byłam ci pierwszą miłością?

— Najpierwszą. Gdyśmy się pobrali, jakkolwiek byłem mężczyzną, byłem... jak ty.

Pochyliła głowę i złożyła usta na dłoń, która była w jej ręku.

— Uczyni tedy spójnię naszą zupełną... taką, jakiej nie było jeszcze na ziemi. Powierz mi twoją troskę, Borysie. Ja wiem, czem jest ona.

— Jakim sposobem?... nie możesz tego wiedzieć — rzekł głosem złamanym.

— Tak jest. Miłość jest jasnowidzem, jedynym słusznym jasnowidzem. Powiedziałam ci już raz, czem jest twa troska, lecz pragnę, byś ty mi ją powiedział. Nie masz wśród nas rzeczy pięknej z tych, które bierzemy, jedno z tych, które dajemy.

— Nie mogę — odrzekł.

Próbował usunąć swą rękę z jej dłoni, lecz Domini trzymała ją mocno. I miała uczucie, że trzyma się

jakiegoś muru ognistego, który okalał miejsca tajemne jego duszy.

— Dzisiaj, Borysie, rozmawiając z hrabią Anteonim, czułam, iż jestem tchórzliwą i małoduszną względem ciebie. Widziałam twe cierpienia, a jednak nie nadażyłam ci z pociechą. Bałam się ciebie. Pomyśl o tem.

— Nie.

— Tak jest. Bałam się ciebie, twojej skrytości. Gdyś się usuwał ode mnie, nie towarzyszyłam ci nigdy. Gdybym wtedy była z tobą razem, możebym mogła uczynić coś dla ciebie.

— Domini, dlaczego mówisz mi podobne rzeczy! Nasza miłość jest szczęśliwą. Pozostaw ją, jaką jest.

— Nie mogę tego uczynić. Nie chcę. Hrabia Anteoni, Borysie, znalazł schron. Ty wciąż się błąkasz. Czyż mogę na to się zgodzić? To mnie o mękę przyprowadza. To mi każe prawie nienawidzić moją własną szczęśliwość i niefrasobliwość. Andrewski zdrzął. Wyzwolił gwałtownie swą rękę z jej dłoni.

— I jam ją prawie w sobie znieawidził — rzekł z pasją. — Znieawidziłem ją. Jam jest, jam jest...

Głos jego złamał się. Pochylił się ku Domini i otoczył jej twarz swemi dłońmi.

— A jednak chwilami jestem mocen błogosławić, co znieawidziłem. Błogosławię to teraz. Kocham... kocham naszą szczęśliwość i niefrasobliwość. Ty... ty przynajmniej bądź całkiem szczęśliwą.

— Musisz dzielić moje szczęście. Pragnę, byś je dzielił ze mną.

— To niemożliwe.

— Pragnę. Musisz je dzielić.

Czuję, że będziemy jednym w duszy, tak jest, może nawet dziś jeszcze, dziś jeszcze.

Andrewski spojrział głęboko poruszony. Ręce jego opadły.

— Muszę iść — rzekł. — Muszę iść do księdza.

Powstał z piasku.

— Idź do namiotu, Domini.

Powstała.

— Gdy wrócisz — rzekła, — będę na cię czekała, Borysie.

Spojrzał na nią. W oczach jego zadrgała jakaś głębia najskrytsza szczerości, czysta, rozżalona. Otworzył usta, by mówić. I w tej chwili Domini uczuła, iż — chwila jeszcze — i powie jej wszystko, co go utłaczało, a co tak pragnęła z nim dzielić. Wzrok jego atoli zagaśł. Usta zamknęły się. Ujął ją w ramiona i uściśnął prawie że rozpacznie.

— Nie, nie! — zawołał. — Pragnę zachować twą miłość, pragnę ją zachować.

— Nigdy jej nie stracisz.

— Mogę stracić.

— Nigdy.

— Gdybym mógł w to wierzyć!

— Borysie!

I naraz łzy palące trysnęły z jej oczu.

— Nie mów nigdy do mnie w ten sposób! — rzekła z żarem uczucia.

Wskazała na grobowiec w pobliżu.

— Gdybyś ty tu leżał — rzekła — i gdybym ja została przy życiu, a tyś zmarł, zanimbyś mnie powiedział — wierzę w to — niech Bóg mi przebaczy, ale wierzę w to, że gdybym nawet po śmierci miała być wziętą do nieba, nawet niebo piekłemby mi było wtedy.

Spojrzła zażawionemi oczyma na napis: „*Priez pour lui*“.

— Modlić się za umarłych — rzekła szeptem jakby do siebie. — Modlić się za mego umarłego... nie, nie mogłabym tego uczynić. Jeżeli mnie kochasz, Borysie, musisz mi zaufać, musisz powierzyć mi swą troskę.

Nadeszła noc. Andrewski poszedł do księdza. Domini pozostała sama. Siedząc przed namiotem, czekała na jego powrót. Rzekła Batuczowi i Uardiemu, iż nie potrzebuje już ich tego wieczoru, by nikt już nie przychodził do namiotu. Nad miastem wszedł młody miesiąc, lecz światło jego było jeszcze nikłe. Na wzgórkach piaskowych obozy zaszemrały życiem. Zalśniły ognie i dymy wzniosły się przed namiotami, które plamami ciemnymi odrzynały się teraz od rozłogu. Dokoła ognisk zasiedli kupkami ludzie, zającąc ku-ku i krwawą polewkę, przysmak nomadów. Koło nich krążyły psy węszące. Sznury wielbłądów leżały powalone na piasku, wypoczywając po trudach podróży. A wszędzie, od miasta i od obszaru, unosiły się dźwięki odległe muzyki, delikatne, powietrzne kwilenia, niby głosy nocnych wietrzyków, ostrzejsze głosy fujarek i tętnienie hen dalekie afrykańskich bębnow — podłoże wszech symfonii pustynnych.

Księżyc się uniósł w górę. Światło jego się wzmogło. Domini patrzyła poprzez piaski, a ujrzawszy ogień w mieście, naraz rzekła do siebie: „To jest widzenie wróżbity z piasku, które ma się w mem życiu ziścić. Widział mnie, jak tu jestem, w tem miejscu“. I przypomniała sobie całą scenę w ogrodzie. postać przykucniętą, ramiona wyciągnięte, palce kościste, wykreślające szybko wzory na piasku, i głos mamrocący.

I znowu uczuła raptownie zgnębienie ducha, którego doznała niespodzianie dnia poprzedniego. Było to, jak gdyby ciężar spadł na duszę i udzielił się odrazu całemu ciału. Miała wrażenie niezmiernego znużenia, niesnaski, nawet trwogi, a potem wraz niezwykłego przypływu życia, które aż ją wstrząsało. Wstała z fotela, nie mogąc usiedzieć spokojnie. Poszła przez piaski ku drodze, którą Androwski miał wracać. Ognie miejskie i obozowisk wyglądały, jak iluminacja świąteczna. Muzyka zdała się być muzyką wielkiego wesela. Uszedłszy kilka kroków, zatrzymała się. Była na zakręcie ławy piaszczystej i mogła była widzieć dołem idący szlak nikły, który ciągnął się aż do wrót miejskich. Tym szlakiem będzie wracał niezawodnie Androwski. Będzie go mogła widzieć ze znacznej odległości, jako ciemny kształt ruchomy na bieli. Była teraz blisko miasta i mogła była słyszeć dźwięki, spływające od jego ścian strzępiastych, głosy ludzi śpiewających i nawołujących się, pobrzęki instrumentów i klaskanie murzyńskich kastanietów. Miasto było pełne uciechy, i pustynia była pełna uciechy.

Spojrzała poprzez piaski i ujrziała poruszającą się plamkę na nich, posuwającą się zwolna, bardzo zwolna, ku niej. Z tak wielkiej odległości nie można było rozpoznać, kto to był, czuła jednak, że to był jej mąż.

Gdy czarna plama na piasku nadciągnęła bliżej, ujrzała, że to był człowiek, ciężko stąpający. Miał chód jej męża. Ujrawszy to, zawróciła. Postanowiła spotkać go u drzwi namiotu, powiedzieć to, co miała do powiedzenia, na progu ich wędrownego ogniska. Uczucie trwogi i nieśmiałości pierzchnęło od niej, gdy znalazła się u drzwi namiotu. Czuła teraz niemylną jedność i spójnię z mężem — i spójnia ta tego wieczoru miała się stać doskonałą. O, gdyby stać się mogła doskonałą!

Czekała u drzwi.

Po pewnym przeciągu, który wydał jej się bardzo długim, ujrzała Androwskiego, idącego poprzez księżycem oświetlony piasek. Szedł bardzo wolno, jak gdyby był wyczerpany, z głową spuszczoną. Zdawał się jej nie widzieć — aż póki nie nadciągnął blisko do namiotu. Księżyc — mniemała, że musiał to być księżyc — udzielał twarzy jego dziwnego wyrazu, jakby wyrazu człowieka zmarłego. Na białej tej twarzy oczy błyszczały gorączkowo.

— Borysie! — rzekła.

— Domini.

— Chodź tu, chodź tu bliżej. Mam ci coś do powiedzenia, coś niezwykłego.

Był tuż koło niej.

— Domini — rzekł, jak gdyby był jej nie słyszał. — Domini... byłem. Wracam od księdza. Chcę się spowiadać u niego.

— Spowiadać się! — rzekła.

— Prosiłem go o to wczoraj, — dzisiaj atoli nie mogłem jeszcze tego uczynić. Dziś mogę wypowiedzieć się tylko przed tobą... tylko przed tobą. Czy słyszysz, Domini? Czy słyszysz?

W twarzy jego i w głosie było coś, co trwogą padło na jej serce. Czuła obecnie, że chciałaby go zatrzymać, by nie mówił, nie śmiała jednak — nie mogła tego uczynić. Duch jej był ponad władzą.

— Co to takiego, Borysie? — wyrzekła szeptem. — Powiedz. Może zdołam zrozumieć cię, gdy kocham tak bardzo.

Otoczył ją ramionami i pocałował, jak całuje mężczyzna, który wie, że pocałunek ten będzie ostatnim — długo i mocno, z rozpaczą miłości, która czuje, że traci nadzieję przez te usta jedyne, których dotyka. Odjął wreszcie swe usta od jej ust.

— Domini — rzekł, a głos jego był jasny i niechwiejny, prawie mocny, — pragniesz wiedzieć, co czyni mnie nieszczęśliwym nawet wśród naszej miłości, nieszczęśliwym rozpacznie. Oto, posłuchaj. Wierzę w Boga, kocham Boga — i zbezczeszciliem Go. Stałem się wyrzec Boga, zapomnieć Go, miłość ludzką przenieść nad miłość Boga. Zawsze atoli prześladowała mnie myśl Boga i myśl ta była moją rozpaczą. Niegdyś, gdy byłem młody, poświęciłem się Bogu uroczystie. Złamałem śluby, które — m był uczynił. Jestem... jestem...

Moc w głosie opuściła go. Przerwał na chwilę i milczał.

— Poświęciłeś się Bogu — rzekła. — Jakim sposobem?

Starał się uchwycić jej wzrok pytający, lecz nie zdołał.

— Poświęciłem się Bogu, jako zakonnik — odrzekł po chwili.

Gdy rzekł to, Domini ujrzała przed sobą w blasku księżycy de Trevignac'a. Rzucił spojrzenie zgrozy na namiot, pochylił się nad nią, uczynił znak krzyża i zniknął. Na miejsce niego stanął ksiądz Roubier, z oczyma błyszczącymi, z ręką podniesioną, ostrzegając ją przed Androwskim. Potem on zniknął zarówno — i zdała jej się, że widzi hrabię Anteoniego, ubranego po arabsku i szepczącego słowa Koranu.

— Domini...

— Domini, czy słyszysz? Domini, Domini!

Uczuła ręce jego na kiściach swych rąk.

— Byłeś Trapistą — rzekła spokojnie, — o którym mówił mi ksiądz. Byłeś owym mnichem z klasztoru w El-Largani, który zbiegł po dwudziestu latach.

— Tak jest — rzekł. — Jam jest.

— Czemuś mi to powiedział! czemuś mi to powiedział!

W głosie jej było zamieranie.

— Chciałaś, bym ci powiedział; nie to atoli skłoniło mnie. Czy pomnisz, ostatniego wieczoru jak rzekłem ci, że Bóg musi ci błogosławić. Odrzekłaś: „Już mi pobłogosławił, dał mi ciebie, twą miłość, twą wiarę“. Oto co mnie skłoniło do powiedzenia. Miałaś moją miłość, lecz nie miałaś prawdy. Teraz przyjm moją prawdę. Zabrałem ci ją. Teraz ci ją oddaję. Jest ona czarna, nie mniej daję ci ją. Domini, Domini! Możesz mnie znie-nawidzić tego wieczoru, wierząc atoli w tem znie-nawidzeniu, iż nigdy nie kochałem ciebie tak, jak kocham obecnie.

— Daj mi twą prawdę! — rzekła.

Księga V.

Odkrycie.

XXVI.

Pozostali tak, stojąc u wejścia do namiotu, w świetle księżycy, które ich łagodnie oświetlało. Obszar cały był już uśpiony, tylko od strony miasta z dołu dochodziły dźwięki muzyki i muzyka jeszcze niklejsza od namiotów Uled-Nail na wzgórkach piaszczystych w południowej stronie.

Gdy Domini rzekła ostatnie słowa, Androwski postąpił krok ku niej, spojrzał na nią, potem znowu odstąpił i spuścił oczy. Gdyby był patrzył na nią, nie począłby mówić.

„Domini — rzekł, — nie pragnę zgola usprawiedliwiać się z tego, com zrobił. Nie pragnę zgola rzec tobie tego, czego nie śmiem rzec Bogu: „Przebac mi“. Czyż można przebaczyć rzecz taką? Pragnę tylko, byś zrozumiała, Domini, co było przyczyną, żem stał się oto odstępca, żem złamał przysięgę, żem stał się kłamcą wobec Boga i ciebie. Była to żądza życia, która zapłonęła we mnie po latach pokuju. Było to obudzenie się mej natury po latach snu. Ty, ty, Domini, możesz zrozumieć żądzę życia, która w ludziach czasami, jak potwór, powstaje i włada... i upust mić musi. Ty bowiem, nawet ty — przy swej czystości i dobroci — masz ją, masz to pragnienie rozpaczne życia w pełni, życia prawdziwego,

WARSAWA, Długa 50 (Pasaz Simonsa), I-sze piętro, wprost Bielarskiej, tel. 142-71.

GELBFISZ I JABŁOŃSKI

Skład tiulu, wstążek, koronek i pasmanterii
Specjalność: Wszelkie dodatki dla Pań magazynierek. Sprzedawz hurtowa i detaliczna. Ceny stałe hurtowe.

poleca wszelkie nowości sezonowe. Ceny stałe hurtowe.

życia, jakim żyliśmy wspólnie, Domini”.

Spojrzał na nią ujrzał, że miała oczy utkwione w niego. Postawa jej była spokojna i lico nie umęczone. Nie mógł na niej przeczytać ani jednej myśli, ani jednego czucia z tych, które były w jej sercu.

„Musisz mnie zrozumieć — rzekł prawie porywczo, — musisz zrozumieć... lub ja...”

„Ojciec mój, jak już ci mówiłem, zaciągnął się do kościoła greckiego, od wczesnej atoli młodości stał się wolnomyslicielem. Matka moja była Angielką i gorliwą katoliczką. Matka i ojciec byli sobie całkowicie oddani, pomimo różnicy przekonań. Być może, że naczelnym ów brak wiary w mym ojcu wpłynął na to, że matka w swej wierze stała się stalszą, żarliwszą. Umarł znacznie wcześniej od niej, umarł, nie zmieniawszy poglądów. Na łożu śmiertelnym mówił matce, iż jest pewny, że niema życia wtórego, że idzie w nicość i w proch. To było agonią jego pożegnania.

„Byłem wtedy małym chłopcem, lecz pamiętam, gdy umarł, matka rzekła do mnie: „Borysie, módl się codziennie za ojca. Ojciec twój czuwa ciągle”. Nie rzekła więcej, lecz ja pobiegłem z płaczem na górę, upadłem na kolana i modliłem się, starając się odgadnąć, gdzie jest mój ojciec i jak mógł wyglądać.

„Od tego dnia węzeł pomiędzy mną i matką zadzierzgnął się silnie, niż dotychczas. Miałem brata bliźniaka, którego kochałem i który mnie kochał. Lecz on wdał się w ojca. Nie miał przekonań religijnych. Był niczem.

„Ojciec mój przeniósł się do Afryki dla zdrowia, które wymagało gorącego klimatu. Miał trochę grosza i kupił sobie znaczny obszar, zdalny do uprawy winogronowej. Włożył w to prawie całe swe mienie. Mówiłem ci już, Domini, że filoksera zniszczyła nasze winnice. Przepadło wiele pieniędzy.

„Żyliśmy spokojnie w małej wioszczyźnie. Nie znałem świata. Młodość moja była bezwzględnie czystą. Nie miała ona zresztą pragnień niewiadomego. Wpływ matki na mnie był silny, nie mogłaby atoli zmusić mnie do niczego. Być może, miłość moja do matki, bardziej, niżli o tem wiedziałem, powiodła mnie do drzwi klasztornych. Namiętnością życia mej matki, namiętnością ludzką, był mój ojciec. Gdy go nie stało, namiętnością jej życia stała się modlitwa za niego. Miłość moja dla matki kazała mi podzielać tę namiętność,

a podzielać tej namiętności powiodło mnie do stanu zakonnego. Jako dziecko już, byłem cały oddany modlitwie. Pomyśl, Domini — kochałem modlitwę, kochałem ją...”

Głos jego złamał się. Gdy przerwał, Domini znowu uprzytomniła sobie muzykę, płynącą od miasta. Przypomniała sobie, że wcześniej wieczorem myślała o tej muzyce, jako o wielkim święcie.

„Postanowiłem wejść w świat modlitwy, w najdoskonalszy żywot modlitwy. Brat mój starał się odklonić mnie od życia zakonnego. Udawał się do Tunisu, przedsiębiorając tam sprawy handlowe. Chciał, żebym mu towarzyszył. Lecz ja byłem stały. Ciągnęło mnie do klasztoru tak, jak ciągnie inną młodzież do życia występnego. Powołanie moje było niezłomne.

„Udałem się do klasztoru w El-Largani i zaciągnąłem się na nowicyat do zakonu Trapistów. W wielkiej ciszy Trapistów, mniemałem, że znajdę więcej pola do modlitwy. Rzucając dom i udając się do El-Largani, wziąłem z sobą jedną tylko rzecz drogą. Był to Domini, krzyż drewniany, który przypiętaś do namiotu w Arbie. Dała mi go matka, a ja pozwoliłem sobie na zachowanie go. Reszta ziemskich rzeczy została, oczywiście, poniechaną przeze mnie.

„Nie widziałaś nigdy El-Largani, siedziby mojej w ciągu lat dzieciny, więzienia mego przez rok. Jest ono samotne, lecz bynajmniej nie opuszczone. Położone na wzgórzu i z odległości spoziera ku morzu. Mniśni zamienili je, jeżeli nie na raj, to co najmniej na ogród przebogaty. Są tam winnice, pola zbożowe, sady, w których znajdują się prawie wszystkie gatunki drzew owocowych. Źródła wody słodkiej tryskają tam w obfitości. W niewielkiej odległości od klasztoru znajduje się duża wioska, zajęta przez kolonistów hiszpańskich, których doglądają mniśni przy uprawie pola. DCN.



Wiadomości literackie.

Polonica.

× Wiadomości dotyczące książki o Sobieskim, szlachcica francuskiego Daley-rac'a (patrz Nr. 47 „Świata”), wymagają pewnego uzupełnienia. Pamiętnik, o którym pisaliśmy, jest wydaniem rozszerzonym pamiętników z r. 1696-go i wydany był w Amsterdamie, oraz w Paryżu w r. 1669. Wydanie amsterdamskie posiadają biblioteki: Branickich, Czartoryskich, Jagiellońska, Os-

solńskich i Zielińskich; wydanie paryskie zaś znajduje się w bibliotekach: Czartoryskich, Ossolińskich, Przeździeckich i w Dziłkowie. Nadto zaś w roku 1700 ukazało się wydanie holenderskie, oraz angielskie, które znajduje się w bibliotekach: Czartoryskich, Jagiellońskiej i Przeździeckich, wreszcie biblioteka muzeum Czapskich w Krakowie posiada francuskie i angielskie. Matki i przekład polski tych pamiętników, wydany w r. 1883-cim w Krakowie przez Aleksandra Kraushara.

Autor wspomnień anegdotycznych, o których mowa, szlachcic francuski, Franciszek Paulin Dalerac, pisał się także Daley-rac, d'Aleyrac, Dallerac i Dalerak. W roku 1698 wydał pod nazwiskiem kawalera De Beaujeu: „*Mémoires du Chevalier De Beaujeu, contenant les divers voyages tant en Pologne, en Allemagne, en Hongrie depuis l'année 1679. Paris, 1698*”. (Pamiętniki kawalera de Beaujeu, zawierające różne jego podróże zarówno w Polsce, w Niemczech jak na Węgrzech od r. 1679. Paryż 1698.) I te pamiętniki były podstawą do książki o Sobieskim. Następnie ich wydania ukazały się w r. 1700 i 1702, a to ostatnie posiada biblioteka ordynacji Zamoyskich w Warszawie.

Z literatury włoskiej.

× Enrico Castelnuovo. „*I Moncalvi*” („Rodzina Moncalvi”). Treści do tej książki zacierpnął, niezwykle płodny i bardzo w ojczyźnie swojej lubiany pisarz, z życia rodziny żydowskiej w dzisiejszym Rzymie. Dwaj bracia, Jakób i Gabryel Moncalvi, synowie zacołanych rodziców, poszli dwiema różnymi drogami. Jakób studjuje, i w chwili, gdy go poznajemy, jest profesorem matematyki w uniwersytecie rzymskim. Gabryel wcześniej wywędrował do Egiptu i zdobył tam, jako bankier, miliony. Odmieni pod każdym względem bracia spotkali się na jednym punkcie — obaj wyzyli się wiary ojców; tylko, że uczony nie przyjął wiary innej, bankier zaś, ze względów towarzyskich, przeszedł na łono kościoła katolickiego. Jedyne dziecko, Giordio, który, jak ojciec, obrał karierę naukową, zapisał oczywiście miłością do pięknej siostry stryjecznej Marianniny, jedynej córki Gabryela, która jednakże pragnie miły książęcej. Jakoż posłubia ks. Cezarego Oroboni i wyjeżdża z nim w podróż posłubną do Palestyny. Giordio zaś szuka ratunku dla swego złamanego serca w Indyach, gdzie oddaje się niebezpiecznym studjom bakteriologicznym.

Włosi lubią Castelnuova, nie przeszkadza im to jednak widzieć jego wad. Budowa jego powieści jest spoiśta, styl zajmujący, ale ludzie pospolici, powszedni, opisy środowiska, przyrody zbyt skromną — zwłaszcza w tej książce ostatniej — odgrywają rolę

TREŚĆ NUMERU 49-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerolimowska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści”:
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.